

# Chłopczy od brudnej roboty w służbie hegemonii

21 lipca 2024

W 1939 roku Franklin Delano Roosevelt zakomunikować miał podobno, że jego kraj, Stany Zjednoczone, posiadają swoich sukinsynów, ludzi od brudnej roboty. Jeżeli słowa te są prawdziwe, nad czym wciąż debatuja historycy, były to słowa odważne, biorąc pod uwagę, że wypowiedziano je w czasie kiedy podobne siły antykomunistyczne, które prezydent USA tak określił, lecz z Europy, zagrażały dominacji anglosaskich imperiów morskich. Od czasu kiedy to ujawniono, tj. od 1948 roku, dużo osób (i całe szczęście, że tak się stało) uważa, że USA to nie idealistyczni demokraci, walczący z uciskiem wobec słabszych, jednak bezwzględni imperialiści, którzy wykorzystują jednych sukinsynów przeciwko drugim. W im trudniejszej pozycji się Amerykanie znajdują, tym gorszych zamordystów są gotowi poprzeć.



Wojna na Ukrainie powoli dogasa, jednak dogasać będzie jeszcze wiele lat – ukraiński faszyzm, zwany banderyzmem, nie jest czymś, co nagle zniknie. Będzie istniał w podziemiu nawet jeżeli rosyjskie czołgi zajmą Kijów i ustanowią tam przyjazne

sobie władze. Zachód, w tym niestety Polska, może jeszcze latami używać fanatyków z zachodniej Ukrainy do robienia amerykańskiej polityki na szlakach komunikacyjnych Eurazji, tj. destabilizować i siać chaos, aby Chiny nie miały zbyt łatwego dostępu do Europy masami lądowymi, a Rosjanie przegrali rywalizację o europejski rynek energetyczny z surowcami amerykańskimi, norweskimi czy brytyjskimi. Przyjrzyjmy się jednak dosyć pogładowo historii wspierania „amerykańskich sukinsynów”.

II wojna światowa była okresem kiedy Stany Zjednoczone, aby utrzymać Anglosasów na szczycie światowej władzy, wesprzeć musiały komunistów, socjalistów i innych lewicowców na całym świecie. Ponieważ niemiecki nazizm czy też włoski faszyzm wyrosły z kapitalizmu i wydawały się najwyższą formą ochrony tego systemu przed komunizmem, a rywalizacja wojenna była de facto wewnętrzną wojną o dominację w świecie Zachodu, Waszyngton chcąc walczyć z tą konkurencją musiał wykorzystać do tego siły antykapitalistyczne, czyli właśnie komunistów. Tak było w Europie Zachodniej, na Bałkanach czy też na Półwyspie Indochińskim. Kiedy jednak Amerykanie osłabili już i częściowo podporządkowali sobie europejskie mocarstwa kolonialne, zwrócić się musieli przeciwko swoim dotychczasowym sojusznikom, a więc komunistom: radzieckim, chińskim, wietnamskim, francuskim czy też włoskim.

Czy jednak komuniści byli pierwszymi „amerykańskimi sukinsynami”, których Waszyngton używał w swojej imperialnej polityce? Cóż, przed nimi byli inni. Jednak za cezurę czasową amerykańskiego „sukinsynizmu” dajmy rok 1939 kiedy to Roosevelt po raz pierwszy dał do zrozumienia, że dla USA demokracja nie ma znaczenia – liczy się pieniądz, hegemonia, ekspansja i dyktat. Przyjmując taką właśnie cezurę czasową, komunistów nazwijmy pierwszymi amerykańskimi sukinsynami, pomimo iż Roosevelt bynajmniej ich tak nie chciał określać. Wszak już wkrótce Józef Stalin miał zostać dobrym wujkiem Joe, który bił po głowie złych wrogów dominacji USA i Wielkiej

Brytanii z bawarskiego Berchtesgaden.

Powojenne odwrócenie sojuszy musiało sprawić, że dotychczasowi przeciwnicy stać się musieli nowymi sojusznikami. Tak właśnie faszyci, naziści oraz prawoskrętni dyktatorzy, za którymi lewicowiec Roosevelt i jego bliska żydowska kooperatywa zapewne nie przepadali, stali się agenturą Waszyngtonu, za pomocą której należało blokować ekspansję niegdysiejszego „dobrego wujka Joe”. Banderowcy na radzieckiej Ukrainie, Trujillo na Dominikanie, Somoza w Nikaragui, Batista na Kubie, Diem w Wietnamie, Ordine Nuovo we Włoszech, Bund Deutscher Jugend w RFN a później, w drugiej fazie wynoszenia do władzy amerykańskich sukinsynów po rewolucji lat 1960. która znacznie osłabiła zdolności amerykańskiego imperium: Pinochet w Chile, Videla w Argentynie, Stroessner w Paragwaju, mudżahedini w Afganistanie, Savimbi w Angoli – lista jest niezwykle długa.

Ci właśnie „niegrzeczni” politycy, bez względu na koszty ludzkie, rządzili lub siali ferment z aprobatą, lub nawet głębokim tajnym wsparciem Waszyngtonu, niekiedy przez całe dekady. Chociaż część z nich, jeżeli nie wszyscy, spokojnie pasowali do definicji amerykańskiego sukinsyna – człowieka polityki, który miał odwałać w różnych częściach świata brudną robotę w interesie USA. A więc eliminować ze swojego obszaru oddziaływania konkurencję – chińską, radziecką, kubańską...

Zimna wojna się zakończyła. Amerykanie znaleźli się w sytuacji braku konkurenta, który mógłby zagrozić ich dominacji. W tym czasie nastąpiła nowa fala demokratyzacji. Oczywiście na obszarze dominacji interesów amerykańskich. Wszak jeżeli nie było konkurencji, to i nie istniał powód, aby najmować bandytów, terrorystów ani nazistów do zabijania i zastraszania jej. Były oczywiście grupki „amerykańskich sukinsynów” w Bośni, Kosowie czy na rosyjskim Kaukazie, ale były to siły znacznie mniej widoczne dla oczu przeciętnego zjadacza hamburgerów ze stanu Kentucky.

Amerykanie jednak źle spożytkowali ten okres czasu. Uważając,

że w nowym hegemonicznym porządku światowym niemal wszystko im wolno i nikt nie zaprotestuje, kiedy będą uderzać w suwerenne kraje, zazwyczaj wrogie Izraelowi, zmarnowali biliony dolarów własnego potencjału, w czasie kiedy Rosja i Chiny zaczęły gwałtownie się rozwijać. Kiedy więc przyszedł kryzys roku 2008, a chiński wzrost gospodarczy wystrzelił w górę, nowa wojna hegemoniczna musiała w końcu nadejść.

W 2013 roku, na głównej potencjalnej arterii komunikacyjnej z Chin do Europy Waszyngton odkurzył starych znajomych z operacji „Rollback” z 1948 roku. Banderowcy, wierni giermkowie anglosaskiego lub niemieckiego imperializmu, ruszyli w nazistowskim amoku na Moskała, nawet nie zastanawiając się, jak bardzo są wykorzystywani przez Goldmanów i Sachsów z Wielkiego Jabłka. 10 lat ich idiotycznej i pozbawionej sensu wojny o nic, przyniosło już od 500 do 600 tysięcy zabitych po stronie Ukrainy. Kraj opuściło ponad 10 mln ludzi. Nawet kilkaset tysięcy kobiet ma pracować w przemyśle pornograficznym, aby zarobić na życie. Współczynnik dzietności niedługo spadnie poniżej 1,0, jeżeli już nie spadł.

Niektórych to jednak nie zraża. Będą walczyć za Waszyngton i Londyn do samego końca. Pytanie jednak jakie się nasuwa: co po Ukrainie? Przecież Rosja i tak rośnie w siłę, a Chiny nawet nie zwracają specjalnie uwagi, że ktoś z kimś gdzieś tam walczy. I nie zwracaliby na to uwagi w ogóle, gdyby ten chaos nie niszczył ich flagowego projektu geoeconomicznego – Nowego Jedwabnego Szlaku.

Wojna na Ukrainie jednak zmierza ku końcowi. Antyukraińskie podziemie sieje spustoszenie na obszarach kontrolowanych przez Kijów, ukraińska nazistka z Lwowa, siejąca nienawiścią w kierunku innych narodów zamieszkujących ten kraj, właśnie zginęła na zachodniej Ukrainie od ran postrzałowych. Owszem, wojna ta jeszcze potrwa wiele lat, a następnie kolejne lata będzie dogasać. Jednak w końcu interes dla koncernów zbrojeniowych tam wygaśnie. I co potem? Dołożyć do interesu kolejne mięso armatnie, np. Polaków, ryzykując wojnę Rosja-

NATO?

Zabieg z Trumpem u władzy, jeżeli został ustawiony (w co jednak trochę wątpię), może być w tym momencie sensowny. Jak najszybciej zapomnieć o projekcie ukraińskim i znaleźć nowych sukinsynów gdzie gdzie amerykańskie wpływy nie są utrwalone. Pytanie jednak gdzie, biorąc pod uwagę, że już kilkadziesiąt krajów chce bliższej kooperacji z Rosją i Chinami w ramach BRICS a znalezienie kolejnych fanatyków pokroju struktur plemiennych w Afganistanie czy też Ukraińców, w świecie, który chce się bogacić i konsumować, a nie ginąć od amunicji artyleryjskiej w wojnach o nic, będzie niezwykle trudne.

I tutaj przychodzi mi na myśl zaniedbany przez administrację Bidena obszar Ameryki łacińskiej. Tam rewolucja zmarginalizowała wiele struktur niegdyś dzierżących władzę z nadania CIA i Pentagonu a spośród nich wyłowienie nowych sukinsynów, gotowych ginąć za Waszyngton i nowojorskie banki, bynajmniej nie będzie takie trudne. Tylko pytanie: po co? Po co puszcząć z dymem obszar od Rio Grande po Ziemię Ognistą, w czasie kiedy Eurazja ponownie będzie się konsolidować? Wydaje się, że na zachodniej półkuli od amerykańskiej roboty będzie ekipa w Buenos Aires, która właśnie oddała kontrolę nad swoim państwem CIA i Mossadowi. Natomiast Waszyngton, w trakcie dogasania pożaru nad Dnieprem, mimo wszystko poszuka nowych sukinsynów na obszarze od Lizbony aż po Szanghaj.

Elbridge Colby, człowiek typowany na wysokie stanowisko w obronności lub bezpieczeństwie administracji Trumpa, stwierdzić miał kilka lat temu, że w im gorszej względem swojej konkurencji pozycji znajdować się będą Amerykanie, tym gorszych chłopców od brudnej roboty będą gotowi poprzeć.

Cóż, widzimy więc, że USA po zmianie ekipy, bynajmniej nie spoczną na laurach. Eliot Cohen, znany neokon, w swoim tekście dla „The Atlantic” z 17 lipca roku bieżącego stwierdzić miał, że druga administracja Trumpa wcale nie musi zmienić aż tak bardzo polityki zagranicznej a neoizolacjoniści z ekipy

republikańskiej, po otrzymaniu raportów służb specjalnych, które uzmysłowią im, czym skończy się wycofanie USA z interwencjonizmu, mogą elastycznie dostosować się do tradycyjnej linii amerykańskiej polityki zagranicznej.

Ja uważam podobnie. Powiem nawet więcej: jeżeli Republikanie od 2025 roku zagoszczą w Białym Domu, obojętnie kto będzie prezydentem, wiceprezydentem czy sekretarzem obrony, możemy otrzymać coś znacznie bardziej radykalnego i imperialnego, niż oglądaliśmy przez ostatnie 3,5 roku. Oczywiście mogę się w tej materii mylić. Jednak nie zapominajmy, że Stany Zjednoczone to nie bantustan, gdzie dwa plemiona walczą o władzę a po wyrwaniu tejże władzy przez jedno z nich, jego polityka względem otaczającego świata zmienia się o 180 stopni. Stany Zjednoczone to poważny kraj i nowa stara ekipa Trumpa powinna to za kilka miesięcy udowodnić, wrzucają jeszcze wyższy bieg na skrzyni z napisem imperializm.

Pozostało mi odpowiedzieć, gdzie oprócz Ameryki Łacińskiej, znajdują się nowe sukinsyny, gotowe robić za Waszyngton brudną robotę, poświęcając być może tysiące a być może nawet setki tysięcy swoich ludzi? Cóż, przyglądajmy się uważnie Azji Wschodniej. Oraz oczywiście okolicy Iranu. Jestem prawie pewien, że potencjalna administracja Trumpa wojny Teheranowi nie wypowie bezpośrednio. Lecz lokalni rozbójnicy wokół Iranu mogą zostać przekonani do tego, że w zwarcie z Persami opłaci się wchodzić. Podobnie z resztą z Chinami. Dyktatorzy z Filipin czy Indonezji, narzędzia Pentagonu do balansowania Chin, mogą być chętni do zasiania chaosu w Azji Wschodniej. Nie zapominajmy także o Afryce, gdzie również lokalni dyktatorzy przeszkoleni przez amerykański Departament Obrony mogą zasiać ferment, aby odwrócić uwagę od sytuacji ekonomicznej swoich krajów. Opcji jest więc bynajmniej nie mało.

W swoim tekście pt. „Zlikwidować strefę buforową” zawarłem sugestię, że permanentne napięcia w Europie Środkowo-Wschodniej mogą na lata przynieść Amerykanom korzyści. Tak,

podtrzymuję te słowa. Jednak wzajemne szachowanie się i testowanie za pomocą wojen hybrydowych to jednak nie to samo co otwarty konflikt, w trakcie którego można przetestować nowe rozwiązania technologiczne. Dlatego właśnie, na co również zwracałem uwagę, wraz z zamknięciem frontu ukraińskiego, a najlepiej jeszcze zanim to się stanie, trzeba będzie otworzyć nowy.

Autorstwo: Terminator 2019

Zdjęcie: [U.S. Army Signal Corps](#) (CC0)

Źródło: WolneMedia.net